

Losy ludzi niedoskonałych

TEATR | Cielecka, Ostaszewska, Chyra, Poniedziałek zagrają w nowym spektaklu Warlikowskiego. Dziś premiera.

JACEK CIEŚLAK

„Wyjeżdżamy” oparte na tekście „Pakujemy manatki” będzie pierwszą premierą, jaką Krzysztof Warlikowski, jeden z najważniejszych polskich inscenizatorów, da w stworzonej z myślą o nim i jego zespole siedzibie Nowego Teatru przy Madalińskiego. Trzy lata, jakie minęły od „Francuzów” według Prousta, wypełniły mu inscenizacje w najsłynniejszych europejskich operach, w tym ostatnia „Z domu umarłych” w londyńskiej Royal Opera House.

Przed premierą milczy. Wypowie się spektaklem, a Jacek Poniedziałek, tłumacz sztuki Hanocha Levina i aktor najdłużej współpracujący z Warlikowskim, mówi, że Krum wrócił do Warszawy. To żart i nawiązanie do znakomitego spektaklu z 2005 r. opartego na sztuce Levina z Poniedziałkiem w roli tytułowej.

Syn marnotrawny

– Nie da się uniknąć porównań, bo po latach wracamy do tego autora i do podobnych bohaterów – powiedział „Rzeczpospolitej” Jacek Poniedziałek. – Krum jak syn marnotrawny wracał do domu z poczuciem klęski, rozczarowując bliskich i matkę, która wkrótce umarła. Na koniec brał się do pisania, co dawało pewną nadzieję, choć był też pełen rozpacz. Teraz możemy zastanowić się, co stało się z bohaterem, który miał czterdzieści lat, a jest kilkanaście lat starszy, zaś jego marzenia i ambicje są w zaniku i związane jedynie z zaspokajaniem potrzeb cielesnych. Tylko to mu pozostało, że ma bzika na punkcie kobiet, jest erotomanem, dlatego

matka załamuje ręce, narzekając na zdrowie i na to, że syn się nią nie opiekuje.

Jacek Poniedziałek podkreśla, że trudno wystawiać Levina: – Każdy, kto widział jego sztuki, wie, że balansują na granicy złego i dobrego smaku – mówi. – Nasz spektakl zaczyna się od problemu z wypróżnieniem, a my nie możemy grać ani kloacznie, ani w na zbyt wysokim stylu, nawet wtedy, kiedy mówimy o śmierci i pogrzebach, bo przecież zakładamy stylizację Levina. Nie ułatwia naszych prób praca w cieniu sukcesu „Kruma”, który był spójnie napisany i miał niewielu bohaterów. Teraz co chwila pojawia się nowy, gra dziewiętnastoosobowy zespół. Tekst jest poszatowany, monologi krótkie, a trzeba w nich wyrazić wszystkie emocje, cały świat. Na pewno tworzymy spektakl o wspólnocie, o jej emocjonalnej kondycji, opisanej gorzko, a wręcz brutalnie. A mimo wszystko czuje się, że Levin kocha swoich małych bohaterów, niedoskonałych ludzi żyjących mrzonkami, marzących o zmianie, którą rzekomo gwarantuje wyjazd.

Tytuł oryginału „Pakujemy manatki” zmieniony na „Wyjeżdżamy” w obecnym kontekście społeczno-politycznym ma szczególny wymiar, zwłaszcza po „Kabarecie warszawskim”, który przestrzegał przed nacjonalizmem. Przecież ONR powraca.

– Najprostsze wyjaśnienie tytułu bierze się stąd, że fraza „wyjeżdżamy” pojawia się w tekście kilkanaście razy – wyjaśnia Jacek Poniedziałek. – Ale kiedy spotkał się rok temu, a Krzysiek zaproponował zespołowi sztukę, zmiany wprowadzane przez PiS, dotyczące sądownictwa, kultury, polityki historycznej, opozycji,

dawały się już mocno odczuć. Siłą rzeczy myślimy o tym, a tytuł koresponduje z naszym poczuciem wyobcowania i lękiem, który towarzyszy spoglądaniu w przyszłość.

Motyw opuszczania rodzinnych stron, emigracji ma też wymiar funeralny, eschatologiczny. Podtytuł brzmi: „Komedia na osiem pogrzebów”.

– Bohaterowie chcą wyjechać, niektórym nawet to się udaje, potem niektórzy powracają – dodaje Poniedziałek. – Mój bohater mówi: „Wszyscy wyjechali”. Inna bohaterka mówi o wyjeździe, ale nie wierzy, że Londyn odmieni jej życie. Pociesza się, że przynajmniej telewizja będzie tam lepsza. Ale oczywiście chodzi też o śmierć: bo żeby uwolnić się od klinczu, jaki przynosi życie – trzeba wynieść się na tamten świat. Mimo to mam nadzieję, że spektakl nie będzie do końca depresyjny, bo jedyne, co nam zostaje, to umieć się śmiać z samych siebie.

Fascynacja Polską

Hanoch Levin ma u nas szczególną pozycję również ze względu na polskie korzenie.

– Rodzice Hanocha wyjechali z Polski w 1935 r. – powiedział mi Danny Tracz, przyjaciel, menedżer i wydawca Levina. – Ojciec był sklepikarzem, pochodził z Końskich, a mama z Opoczna, gdzie zrobiła maturę. Nie tęskniła za krajem z powodu antysemityzmu, ale pociągała ją polska kultura. Kupowałem jej polskie książki, bo po śmierci ojca Hanocha żyło im się biednie. Miał 13 lat, kiedy zaczął pracować jako goniec. Uczył się w wieczorowej szkole. Potem studiował filozofię i literaturę hebrajską.

Nie znał polskiego, ale był zafascynowany Polską. Ciekaw



♦ **Magda Cielecka** na próbie „Wyjeżdżamy”, spektaklu Krzysztofa Warlikowskiego w Nowym Teatrze

wił go język, a zwłaszcza zbitki samogłosek. Kiedy Tracz mówił mu „W Szczepreszynie chrząszcz brzmi w trzcinie” – zaśmiewał się do rozpuku. Często dawał bohaterom polskie imiona: Chrupcia, Dupa, Cipka, Psiotek, Apcik, Znajduk, Kaszka, Kocyk, Górnik, Golonka. To nieudacznicy zmagający się z poczuciem braku wartości, niespełnieniem, samotnością i strachem przed śmiercią.

Levin debiutował wierszami – monologami nieboszczyków. Z 63 sztuk, jakie napisał, 22 sam wyreżyserował. Stał się

sumieniem Izraela. Tak jak dla nas Gombrowicz, Mrozek i Różewicz. Walczył z samozadowoleniem rodaków, kultem armii i siły. W 1968 r. „Ty, ja i następna wojna” krytykowała narodową euforię po zwycięskiej wojnie siedmiodniowej. Konserwatywni widzowie rzucali w aktorów krzesłami. „Królowa Wanna” z 1970 r. drwiła z premier Goldy Meir. Po demonstracjach zdjęto sztukę z afisza. Levin był inwigilowany. Krytykował złe relacje z Palestyńczykami.

„To paradoks: chcę, żeby ludzie przyszli, potrzebują ich,

a jednocześnie (...) nie chcę im się podobać. Chcę ich rozdrażnić” – powiedział. Gdy zmarł, rząd oddał mu jednak hołd.

– Przypominał biblijnego proroka, na początku nie był rozumiany, dlatego oburzał, dopiero potem przyznawano mu rację – mówił Danny Tracz. ©

RZECZPOSPOLITA

PISALIŚMY O TYM:

Jacek Marczyński o londyńskiej premierze **Warlikowskiego**

„Wyjątkowa opera więzienna”
9 marca 2018 r.

📄 archiwum.rp.pl